Świat dziewcząt

N. 15



50 gr.

Rok I. Warszawa, dnia 20 maja 1933 r. Nr. 15.

Świat Dziewcząt

WYCHODZI 1-go 10-go I 20go KAŻDEGO MIESIĄCA

WYBÓR PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ

Dnia 8-go maja dokonały połączone izby Sejmu i Senatu jako Zgromadzenie Narodowe wyboru Prezydenta. Musimy uprzytomnić sobie tę ważną chwilę, kiedy to przedstawiciele narodu: posłowie i senatorowie dali wyraz temu, że władzę, która według konstytucji należy do narodu, ma reprezentować Prezydent. Ten bowiem, któremu powierzamy ten najwyższy urząd w państwie, będzie przez siedem lat spełniał niełatwy, choć zaszczytny obowiązek, będzie swoją osobą świadczył nietylko przed narodem, ale i przed obcemi państwami o istnieniu Polski.

Zgromadzenie Narodowe powierzyło powtórnie godność Prezydenta Rzeczypospolitej dotychczasowemu Prezydentowi Prof. Ignacemu Mościckiemu, który ku radości całego społeczeństwa przyjął wybór i złożył przepisaną przysięgę, że będzie: „praw Rzeczypospolitej, a przedewszystkiem Ustawy konstytucyjnej święcie przestrzegać i bronić; dobru powszechnego Narodu ze wszystkich sił wiernie służyć; wszelkie zło i niebezpieczeństwo od Państwa czujnie odwracać; godności imienia polskiego strzec niezachwianie; sprawiedliwość względem wszystkich bez różnicy obywateli za pierwszą mieć sobie cnotę; obowiązkom urzędu i służby poświęcać się niepodzielnie".

W tych słowach przysięgi zawarte są cele państwowe nazewnątrz, zawarta jest porządkująca myśl państwowa, wyrażająca się w bezpieczeństwie, sprawiedliwości i trwałości. Pierwszy Obywatel Polski — Prezydent, wygłaszając te słowa, przemawia niejako w imieniu nas wszystkich, którzy nieinaczej pojmujemy nasze obowiązki wobec państwa.

Mówimy: Pierwszy Obywatel, aby wskazać przodujące miejsce, jakie zajmuje Prezydent w Republice. Należałoby jednak i na coś innego zwrócić uwagę w związku z tak doniosłem wydarzeniem, jakiem jest wybór Prezydenta. Oto, że wobec faktów naszego życia państwowego nie zachowujemy się biernie, że czujemy i rozumujemy z pełnią obywatelskiej świadomości. Takie poczucie wspólności spraw daje obywatelowi konstytucja, w której ramach wszyscy są sobie równi.

Dopiero po długich walkach z absolutyzmem zdobyły sobie społeczeństwa europejskie wolność polityczną i równość społeczną. Zaczęły się te walki u schyłku 18-go w. Wielką Rewolucją francuską, która głosiła hasło wolności, równości i braterstwa, a ustaliła prawa człowieka i obywatela. W ten sposób przemienili się „poddani" w „wolnych obywateli", jednoczących się z sobą w wysiłku dla państwa. Poczem już formułowały się sprawy ustroju państwa — na monarchje konstytucyjne i na republiki. Republikom służą do tej pory za wzór dwie konstytucje republikańskie: Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i Francji, różniące się między sobą właśnie zakresem władzy Prezydenta. W Stanach Zjednoczonych Prezydent ma bowiem władzę bardziej rozległą i silniejszą, niż we Francji. Prezydenta w Ameryce wybiera cały naród przez specjalnie w tym celu wybranych przedstawicieli, z czego wynika, że prezydent sam mianuje ministrów i że ministrowie są odpowiedzialni przed prezydentem, a nie przed parlamentem, jak to jest we Francji.



Pan Profesor Ignacy Mościcki, powtórnie obrany na Prezydenta Rzeczypospolitej.

Nasza Marcowa Konstytucja wzorowała się na konstytucji francuskiej, toteż u nas wybór Prezydenta należy do Zgromadzenia Narodowego. Okazało się jednak, że inne są warunki naszego bytu państwowego i że nasze dążenia muszą iść w kierunku wzmocnienia władzy Prezydenta i Rządu. Jesteśmy przecież państwem, które nie tak dawno odzyskawszy niezależność, musi ze szczególną wytrwałością ustalać swoją państwowość wśród naporu silnych sąsiadów.

Kto zna dzieje Rzeczypospolitej Polskiej w okresie przed rozbiorami, łatwo wysnuje z nich wnioski, dowodzące o potrzebie silnej władzy państwowej. Należy tu sobie przypomnieć choćby zasady Konstytucji 3-go Maja, która uwzględniała potrzeby wzmocnienia władzy naczelnej. Z tych samych założeń wychodząc, uznajemy i dziś konieczność rewizji naszej Marcowej Konstytucji. Doświadczenie nauczyło nas, że potrzeba nam równowagi między władzą ustawodawczą, jaką jest sejm i senat a władzą wykonawczą, jaką jest rząd z Prezydentem na czele państwa, że trzeba nam przedewszystkiem skupienia tych czynników państwowych i społecznych, które zapewniają państwu siłę i spokój wewnątrz i nazewnątrz.

Zanim ta rewizja za zgodą Sejmu i Senatu nastąpi, wybór Prezydenta należy do Zgromadzenia Narodowego, które właśnie 8-go maja tę wysoką godność powierzyło Ignacemu Mościckiemu. Powtórny wybór prof. Ignacego Mościckiego na Prezydenta świadczy, z jaką ufnością odnosi się naród do tego Obywatela, który przez siedem lat zajmował to stanowisko, idąc ręka w rękę z Marszałkiem, Józefem Piłsudskim.

Miłość i głęboka cześć, jaką żywi całe społeczeństwo dla Prezydenta Ignacego Mościckiego, wyraziła się najwidoczniej w tym wyborze, a wszystkie nasze życzliwe uczucia towarzyszyć mu będą w wykonywaniu świetnego obowiązku Pierwszego Obywatela państwa.

H. N.

NA OSADZIE

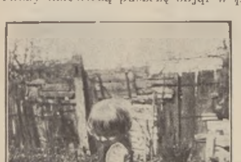
(nowela)

I.

Najdawniejsze wspomnienie wynurzało się z ciemności, jak wyspa z oblewającej ją wody. Więc najprzód wielkie domy i niebo nad niemi wycięte oszczędnie, a także mnóstwo kamieni gorących, lub bardzo zimnych. Potem nadbiegła lokomotywa czarna i przerażająca, płacz zginął w huku, w gwarze. Magda obudziła się na jednem łóżku z matką w niziutkim pokoiku o ścianach niebieskich z różowym gzymsikiem, przez okno wchodził dzień. Otworzyły się drzwi i weszła żydówka z tacą w ręku jej sztywne włosy lśniły, jak smoła:—jak się państwu spało? Tu jest czaj i świeże chałki.—Tatuś zginął! spostrzegła raptem Magda i zalała się łzami. — Ależ nie, nie: tylko wyszedł i zaraz wróci — uspokajała ją matka, a stara kupcowa cmoknęła ustami:—jakie dobre dziecko!

— Patrz, Magda, jesteś już duża panna, musisz to zrozumieć — rzekł ojciec i podniósł ją na ramię: — to jest kawałek ziemi, który dostałam za swoją krew, to jest nasz, nasz kawałek ziemi. Tu będziemy żyć, pracować, a ty będziesz rosnąć i nam pomagać.—Chodźcie obejrzeć miejsce na dom — wołała z pobliża matka — jakie wspaniałe miejsce pod temi drzewami, jaki widok! Orzechów powinniśmy zebrać na jesienie ze dwa korce.—Z wysokości ojcowskiego ramienia Magda rozglądała się uważnie. Na gołym placu piętrzyły się stosy żółtych, pachnących pali; wielkie drzewa bez liści skrzypiały, unosząc stado gawronów. Pozatem szara ziemia oraz szare przedwiosenne niebo rozścielały się w takiej obfitości, że właściwie nic poza niemi nie było. I ta właśnie pustka, w której rozebrzmiały pełne radości słowa, pustka, w której miało się coś stać — najsilniej utkwiła w pamięci Magdy.

Wszystko istotnie rosło w jej oczach i razem z nią: dom, budynki gospodarcze, szczepy jabłonek i czereśni, jałówki i świnie. Potem mówiła młodszemu rodzeństwu, z dumą osiedleńca, który pierwszy dziewiczą puszczę objął w posiadanie: — ja pamiętam, jak tu jeszcze nic nie było. Ani domu, ani obory, ani Łysej, ani Graniochy, ani Kasztanków. Nic!



...latem trzeba kopać, sadzić, podlewać..

Dzieciom wydawało się wobec tego — a i jej samej potrochu też — że Magda jest strasznie stara. — Stara, jak orzechy? Nie, jednakże one były starsze, już wtedy siedziały gałęziami w niebie, zaś owoce w zielonych k o ł y s k a c h dźwięcznie rozpryskiwały się jesienią po ziemi.

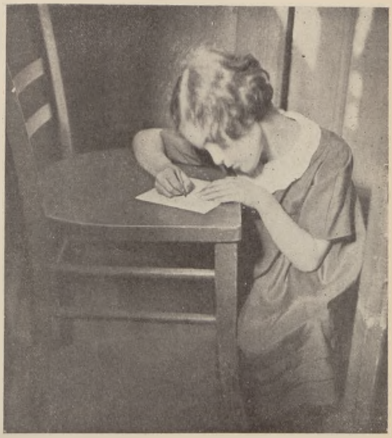
Ale, jeżeli c h o d z i właśnie o młodsze dzieci, to te przynosili przy niej wszystkie, zawinięte w poduszki, drobne, jak koty.

— Jeszcze jedno? — mówiła Magda z powagą i zabierała się do nowych obowiązków: grzać mleko, kołysać, zabawiać, uczyć chodzić. Gdyż matka tak mało mogła z niemi przebywać: w wysokich, łojem wysmarowanych butach, okutana chustką, niczem baba z wioski, brnęła zimą przez błoto, przez śnieg doić krowy, zadawać siano, pójło, mięszankę, słać świniom.

Tembardziej latem. O świcie przygotowywała w kuchni śniadanie i obiad, poczem oboje państwo kapitanowie szli w pole na sianokos, do pielenia, albo do żniwa. Można ich było widzieć z okna: małe zgięte figurki, albo jasną, jak błyskawica, kosę tatusia. Wpadali tylko na obiad, a obiad już odegrzała, naturalnie, Magda, i nakryła i podała.

Teraz zresztą Magda czuła już twardy grunt pod nogami, nie te wspomnienia chwiejne i rozpierzchłe, podobne do piany na wodzie. Czas posiadał dla niej rozmiar i wartość. — To było dwa lata temu, kiedy Kwiatuła miała czerwonego byczka — oznajmiała dokładnie. — To było trzy lata temu, kiedy się ochwacił kasztan z białą grzywą i kiedy urodził się Tadzio. No i jeszcze dalej czerpała swe daty, chwytając się ważnych wypadków życia, niby kamieni przydrożnych, na których widnieją cyfry dystansów.

Magda była na swój wiek wysoka, lecz chodziła lekko przygarbiona i kołysząc się w obydwie strony, jak ludzie, co mają wiele na głowie, śpieszą się wciąż i nie wiedzą, czy zdołają się ze wszystkiem uporać. Jasne włosy obcięte zupełnie krótko, żeby prędzej załatwić to czesanie; wyraz twarzy skupiony i trochę stary. — Jakaż to poważna dziewczynka — mówił czasami ktoś z rzadkich gości. — To moja prawa ręka — odpowiadała z chlubą matka. — Najgorsze to, że lata płyną, a tak mało się uczy — biadał ojciec: — jak tylko staniemy trochę lepiej, trzeba będzie się ostro zabrać i dopełnić czas stracony, prawda? — Magda kiwała głową z zadumą. Nauka to nie praca, to przyjemność. Latem trudno o to: trzeba kopać, sadzić, podlewać, pamiętać, że po lecie przychodzi zima. Nie można dzieci spuszczać z oka, bo a nuż, które wpadnie do studni, albo kasztankom pod kopyta?



...nauka to nie praca, to przyjemność...

Zato zimą, kiedy wracali rodzice, Magda po kolacji rozkłada kajety i książki. Czasami uczyła mama, czasami ojciec. Ale dzieciaki tak były spragnione tych kolan, tych pocałunków, tyle ważnych rzeczy miały mamusi do powiedzenia, że nie można się było im obronić. Śpiące, wiszące na rękach mama odnosiła do sypialni i za chwilę jej samej głęboki oddech dochodził stamtąd. Tylko przyłożyła głowę do poduszki i już spała.

Pan kapitan tak łatwo nie składał broni. Walczył mężnie, otwierał szeroko oczy, rozcierał sobie czoło i skronie, to przeszedł się po pokoju, to zapalił papierosa.

Magda czytała głośno, pisała dyktando, rachunki. Oczami pełnemi współczucia dostrzegała mękę strudzonego ojca: — Idź spać, tatusiu, — mówiła w końcu z łagodną wyrozumiałością: — już ja sama skończę.

Kapitan trzeźwiał w jednej chwili:— wcale mi się nie chce spać! No, dalej, Magdusiu: kupiec nabył dwa gatunki herbaty...

Kiedy dochodzili już do porozumienia, po czemu kupiec powinien sprzedać funt, starodawny funt herbaty — głowa ojca opadała na stół w kamiennym bezwładzie. Nikła wtedy w cieniu czerwona szrama na lewym policzku — znak wojny oraz cena tego kawałka ziemi; występowały natomiast wyraźnie zmarszczki na czole i pod oczyma, ślady trosk, ślady wiatrów, mrozów i pracy.



...szli w pole...

Niekiedy kapitan pozwalał się unieść marzeniom. Ołówek, którym rysował koło, czy to kwadrat, nieruchomiał w palcach i pod światło lampy czarnym wykrzyknikiem zastygał na papierze.

— Kiedy sprzedam karmnika, musi się dla was coś okroić. Mamie kupię sukienkę do kościoła. Magdzie — na szubkę. A Loni — trzewiczki.

— Trzewiczki, trzewiczki! Krzyczała Lona i, pomimo swoich dziewięciu lat, drapała się ojcu na kolana. W jej wieku Magda była już zatroskaną, rozważną osóbką, ale Lona to zupełnie co innego, oczko w głowie rodziców i taka podobna do mamusi: śliczna, czarnowłosa, z twarzyczką, jak kość słoniowa, gładką i blado-żółtą, z długiemi, ostremi rzęsami, które wędrowały po policzkach, niby dwie czarne ćmy. Lona musiała mieć zawsze kokardę we włosach i żadna wstążka w szufladzie matki nie ocalała przed jej wzrokiem. Pozatem nosiła zawsze paciorki na szyi i świecącą etykietkę z półsztuki perkalu zamiast broszki przypiętą do fartuszka. Wszystko to bardzo pięknie, ale najgorzej z trzewiczkami. Bo obuć czworo dzieci było ponad siły kapitana, więc tylko Magda, jako najstarsza, miała jakie takie buciki, a trojgu najmłodszym ojciec szył w zimowe wieczory pantofelki niewymyślne, a ciepłe z wojloku i kawałków barchanu.

Prawda, że te marzenia najczęściej się nie spełniały: ani granatowa wełna na sukienkę, ani szubka, ani trzewiczki: — rozeszło się, sam nie wiem, jak! wyznawał kapitan ze smutkiem. Ale cieszyć się i obiecywać sobie też jest przyjemnie, więc ojciec był niepoprawny i za następnym razem odbiegał jeszcze dalej i zuchwałym skokiem zapędzał się w przyszłość, o której nie wiedział, kiedy nadejdzie.

Widział mianowicie swoją osadę kwitnącą, sad wyrośnięty, jak dąbrowa i rodzajny, śliczne krówki, gładkie koniki, ule z pszczołami i trochę grosza w kalecie.

Niewiadomo kiedy — ale to musiało nadejść, do tego przecież wszyscy dążyli wysiłkiem rąk i lat.

— O! będziemy, naturalnie trzymać parobka i służącą, nie pozwolę ci tak pracować, jak teraz — mówił do mamy. — Odpoczniesz nareszcie, będziesz miała ładne ubrania, inspekta, kwiaty. Zaprenumerujemy sobie dwa pisma: jedno codzienne, jeden tygodnik. Dzieci oddamy do szkół, do miasta. Jakie wesołe urządzimy wakacje, kiedy się zjadą latem, a każde przywiezie swojego kolegę i koleżankę!

Mama podniosła głowę z nad stosu bielizny, którą łatała wieczorami — teraz znów pani kapitanowa w skromnej, czystej odzieży, a nie baba, co świniom nosi jeść.

Gdy ojciec plótł trzy po trzy — śpiewała półgłosem piosenki swojego kraju, smutne i obce, gdyż nie była Polką, ojciec przywiózł ją, żonę z wojny — i już tylko w piosenkach przypominała sobie porzuconą mowę.



...wszystko rosło razem z nią...

Teraz przestała śpiewać, uwierzyła naraz w ten dzień, o którym opowiadał kapitan: wydało się jej, że wszystko wówczas musi być zwrócone, wszystko, jak w dzień Sądu, zmartwychwstanie w młodości i krasie minionych dni.

— Pomyśl — ciągnął ojciec — najważniejsze, że nic nie będziemy nikomu zawdzięczać, tylko własnej pracy. Ziemia! Ziemia! Przytuli, nakarmi, odzieje, wynagrodzi. Mój dziadek stracił wszystko, mój ojciec się tułał na cudzym chlebie. A my pomalutku, od samego początku, od dziesięciu palców...

I tak dalekie pozajutro uśmiechało się, niby piękny owoc, który dojrzewa na gałęzi lata, aż w jakiś słoneczny dzień ku jesieni sam upadnie na ręce.

II.

Dom kapitana stał na wydmuchu: dopadały go ze wszystkich stron wiatry, drapieżne zimą, przyjacielskie i głaszczące na wiosnę. Kilka topoli nadwiślańskich nie stawiało im oporu; gięły się ich pnie wysokie, a wśród liści, migocących białą podszewką padał zaraz szept bojaźni, niczem na ludzki tłum zła wiadomość.

Małe szyby patrzały czujnie i czy to zacinał je deszcz, czy to rozpalały się od świtów i zachodów. Patrzały od północy ku mokrym, zielonym łąkom, połyskującym wodą wśród kęp trawy — rzęsy. Od wschodu zamykał się pas lasu, lecz zbliska były to sosenki niedorosłe, podszyte liljowo-burym, miodowym wrzosem. Z południa szedł gościniec, przerzynał zarośla oraz nisko rozpełzłą wieś. Tu i tam widniały na polach sadyby innych osadników: samotne domki; wczepione w powietrze nowemi ścianami i żaglem blaszanego dachu. Kiedy wiatr pociągnął z tej strony, lub kiedy mróz ściął na kamień powierzchnię drogi — słychać było z gościńca turkot wozów i głosy ludzi, jadących do miasta, wracających z jarmarku.

Co czwartek wlókł się tamtędy wędrowny s z m a c i a r z. Wielki furgon był środkiem wygięty od ciężaru, że, jak brzuch tuczonej świni dotykał omal ziemi. Rosły, gniady koń w duhach nad głową — miał ubłocone nogi i szerść pozlepianą od potu. Ztyłu trząsł się tobół z obrokiem oraz wiązka siana: żółta sieczka sypała się po koleinach traktu, wiatr porywał źdźbła siana, kręcił niemi w powietrzu. — Hoo, ho! hoo— ho! — krzyczał stary żyd głosem tak donośnym, że słychać go było we wszystkich pobliżach.

(C. d. n.)



...z południa szedł gościniec...

ZA PROGIEM SZKOŁY

SIOSTRY GOSPODARCZE

Nie, stanowczo najgorzej nosić imię Anielki. Bo pomyślcie brat, Staś, obchodzi imieniny w początku maja, kiedy jest dużo kwiatów, piękna pogoda i kiedy (co jest bezsprzecznie najważniejsze), mamusia jest jeszcze w domu i wszystko doskonale urządza. Marysia znowu obchodzi imieniny w lutym, w karnawale, kiedy można było zawsze trochę potańczyć i kiedy znowu nieoceniona mamusia przygotowuje kolację dla gości.



...w domu był bałagan...



A Anielka? Anielka obchodziła w maju, przy końcu maja ściślej mówiąc, a tego roku mama akurat wyjeżdża na kolonje, gdzie jako lekarz ma czuwać na gromadę dosyć niesfornych dzieci, w domu jest bałagan i Anielki imieniny zarysują się naprawdę w jakichś mętnych konturach, jakaś herbata, jakiś tort, żadnego zapraszania gości.

— Bardzo mi przykro, moje dziecko — mówiła mama — ale wiesz przecież, że wszystko się tak jakoś złożyło na ostatnią chwilę, że w domu jest pranie, że Marysia przygotowuje się do ostatnich egzaminów, że... daj mi wreszcie spokój, nie widzisz, że jestem zmęczona i napewno i tak z niczem nie zdążę.



...wszystko się tak jakoś złożyło...

— A może ja bym mogła ci coś pomóc, mamusiu, — jęknęła absolutnie przygnębiona Anielka — wiesz, że lubię gospodarować i ostatecznie umiem to robić.

— Tak, wiem, ale masz za mało doświadczenia. Gdyby ciocia Hela była zdrowa, toby przyszła i przypilnowała tego wszystkiego, ale tak, to już musisz zrezygnować z imienin, moje dziecko.

— A czy nie można wynaleźć kogo do pomocy?

— Nie, nie wiem, o niczem takiem.

...na drugi dzień zjawiła się młoda zgrabna osóbka...

Anielka odeszła cicho i wzięła pierwszą, lepszą książkę:

— Przygody polskich podróżników — Smolarskiego. Rzuciła. Co znaczą takie przygody wobec lotu Skarżyńskiego. Potem przerzuciła jeszcze kilka książek, Dickens'a — Maleńka Dorrit, aż wreszcie wpadła jej w ręce plika tegorocznych Bluszczów. Rzuciła okiem i nagle pochyliła się z zaciekawieniem: w oczy jej wpadł artykuł p. t. „Siostry gospodarcze". — Coś dla mnie, coś dla obecnej sytuacji — pomyślała Anielka i przewertowała artykuł od deski do deski.



[illegible]

— Cóż za cudowne pomysły — Anielka w te pędy pobiegła do matki i przeprowadziła z nią dłuższą konferencję, na skutek której zatelefonowała do Związku Pań Domu (N.-Świat 9): i na drugi dzień rano zjawiła się młoda zgrabna osóbka, która przebrana w biały fartuszek, poczęła się uwijać po kuchni, po spiżarni, po pokojach, porządkując, wszędzie i gospodarując.

Mama odetchnęła i odrazu przygotowania do wyjazdu ruszyły szybszym tempem: Anielka odetchnęła, bo już wiedziała z góry, że pani Janka wszystko doskonale urządzi, łącznie z nieszczęsnemi imieninami. Chodziła też za nią cały dzień, deptała doslownie po piętach i pytała: — A pani Janko dlaczego tak, a pani Janko dlaczego owak. A wreszcie: — skąd Pani tak wszystko dobrze umie, skoro jest Pani taka młoda?

Pani Janka roześmiała się wszystkiemi zębami. — Nie, nie jestem taka młoda, jak wyglądam. Mam całe 30 lat, bo inaczej nie wolno by mi było zostać siostrą gospodarczą. Na to, aby zostać siostrą gospodarczą, trzeba *bezwzględnie* skończyć jakąś szkolę gospodarczą: ja osobiście skończyłam seminarjum gospodarcze w Warszawie, ul. Nowowiejska 43, ale moje koleżanki pochodzą ze wszelkich możliwych szkół tego typu. Jeżeli cię to interesuje to mogę Ci dać spis szkół, które uprawiają do otrzymania tytułu siostry gospodarczej. Posłuchaj więc:

Cieszyn.
Szkoła Gospodarcza Zgrom. S. S. Boromeuszek.

Jaworzno.
Pańska Góra. Szkoła Zawodowa Gospodarstwa Domowego.

Kraków.
Miejska szkoła gospodarstwa domowego. Pędzichów 13.

Leszno.
Państwowa Szkoła Przemyslowo-Handlowa. — Wydział gospodarczy. ul. Komenjusza 21.

Poznań.
Państwowa Szkoła Handlowa i Przemysłowa. — Wydział gospodarczy. ul. Marsz. Focha 2.

Sosnowiec, ul. 3-go Maja 20.



Panna Janka wszystko doskonale urządzi...

Szkoła gospodarcza.
Toruń, ul. Strumykowa 4.
Państwowa Szkoła Zawodowa. Wydział gospodarczy.
Warszawa, ul. Filtrowa 61.
II Miejska Szkoła Rękodzielnicza. Wydział gospodarczy.
Warszawa, ul. Teresińska 9.
Średnia Szkoła Gospodarczo-Zawodowa. Wydz. gospodarczy.

— Widzisz — mówi pani Janka — siostry gospodarcze, to jeszcze jeden zawód, dostępny dla dziewcząt po skończeniu szkoły gospodarstwa domowego. Zanim dostanie posadę nauczycielki, albo jakąć wogóle, to jako siostra gospodarcza może zarobić 6 zł. dziennie i życie.

Oczywiście, jeżeli siostra jest wezwana do domu na cały miesiąc, dostaje mniej, bo maximum 160 zł., ale w obecnym czasie bezrobocia i to coś znaczy, tembardziej, że posadę siostry gospodarczej można nawet traktować, jako dochód poboczny, wkroczenie w ich szeregi nie przecież nie kosztuje. Telefon do Związku Pań domu — i wszystko załatwione.

— A czy dużo jest takich sióstr gospodarczych — pytała Anielka.

— Narazie dosyć, ale jest ich coraz więcej. Zanim dojedziesz do lat 30, będzie zapewne i dużo kandydatek i dużo zapotrzebowań. Narazie informacje jakie dałam służyć mogą najwyżej jako zachętą dziewcząt do wstępowania do szkół gospodarczych, bo już nie tylko nauczycielstwo jest ukoronowaniem trzech lat nauki w szkole czy seminarjum, ale praca do pewnego stopnia społeczna, jaką jest zawód siostry gospodarczej.

— Tak — rzekła Anielka — to wszystko bardzo mi się podoba. Dzięki pani zapoznałam się przynajmniej z nowym zawodem dla kobiet, zawodem, który właściwie nie jest jeszcze u nas znany. A przecież takie wyręczycielki pań domu w razie choroby, wyjazdu, czy nawet poprostu nieumiejętności są koniecznie potrzebne. Gdy zdam maturę, napewno wstąpię do szkoły gospodarczej, a potem, kto wie, może zostanę taką siostrą.

Zofja Miszewska.



...siostry gospodarcze, to jeszcze jeden zawód, dostępny dla dziewcząt...

KĄCIK HARCERSKI

ŚWIĘTY OGIEŃ

Rosja, Austrja i Niemcy, trzy mocarstwa, które należały do rozbioru Polski przed wojną światową, były taką potęgą, że sama myśl o Niepodległości stawała się szaleństwem. Ten brak wiary w możliwość zwycięstwa sformulowano w powiedzeniu, że „z motyką na słońce się nie rzucisz". Jedynie młodzież pełna wiary i zapału nie chciała się z tym stanem pogodzić. Szukała wyjścia w literaturze i historji, a zetknąwszy się z rycerskiemi tradycjami narodu, zapragnęła czynu. Również sięgnęła po wzory na Zachód.

Na Zachodzie w świetlanych blaskach szlachetności ukazał się typ młodzieńca-skauta, który za godło przyjął lilję, kwiat niewinności, i ukochał piękno, prawdę i szlachetność. Młodzież polska przyjęła ten wzór, a dostosowawszy go do naszych warunków, dodała mu cechy rycerza kresowego, wiecznie czuwającego i harcującego za dobrą sprawę.

Z mgły historycznych niepowodzeń Polski wyłonił się harcerz. Natychmiast stanął do pracy, ćwicząc się w cnotach miłości bliźniego i Ojczyzny. I gdy zapowiedziany przez Słowackiego przyleciał rycerz z chorągwią, na której trzy ogniste litery paliły się i zawołał grzmiącym głosem: „tu był rycerz, niech wstanie! Niech siada na koń"... Królowie drżą. Lud się budzi. Rycerz nie odleciał, jak ongi, bo znalazł młodzieńca z sercem czystem, jak djamentowe źródło i tak wonne, jak lilje wiosenne, który wstał i krzyknął gromkim głosem rycerzowi: „oto jestem". A rycerz zapłodniwszy go świętym ogniem zapału, porwał go w bój, gdzie Europa krwawiła. Zaczęła ginąć młodzież za sprawę Ojczyzny! Ginęli chłopcy i dziewczęta, harcerze i harcerki. Te ostatnie mile dziewczęce w myśl prawa harcerskiego, pogodne i uśmiechnięte.

Jedne pełnią służbę kurjerską, drugie wywiadowczą, inne sanitarną, lub walczą w okopach. Z tych wiele, bardzo wiele ofiarę z życia na Ołtarzu Ojczyzny złożyło.

Domańska Janka umiera z wycieńczenia na wojnie. Szafirówna Wanda, plutonowy w. p., uczestniczka walk pod Lidą i Baranowiczami, zmarła 14 września 1920 r. w Suwałkach, Kamieńska Ludwika kończy swe życie na krwawą dyzenterję podczas odwrotu z Białorusi.

Również krwawa dyzenterja zabiera Taborkowską Cecylję, Kamieniecką Ludwikę i Piekarską Zofję, które pełniły służbę wywiadowczą w plutonie harcerskim przy 4 armji w Mińsku Litewskim. Inne giną w więzieniu, jak Czarlińska-Piekarska Stenia, która umiera w szpitalu więziennym, lub Pola Maciejowska, zamordowana za kratami więziennemi przez Niemców. Rozstrzelano panią Kraśnicką z dwiema córkami. To samo spotkało Dykiewiczównę Natalję i Dworzecką-Bohdanowiczównę Annę za pełnienie służby wywiadowczej. Tajszerska Jadwiga dzielna i świetna organizatorka, ginie jako 18-letnia dziewczyna, denuncjonowana przez Dzierzyńskiego. Pochowana w mogile, którą musiała własnemi rękami wykopać. Na polu walki giną: Chmurska Wanda, Grabska, Dołęga Helena kończy swój żywot od kuli, Jankowska Irena umiera w okopach, ciężko ranna w nogę; Trzcińska Ewa, zastrzelona przez Ukraińców, spełniając swój obowiązek. Umiera na tyfus w Kijowie w grudniu 1919 r. Ziemiańska Bronisława, odznaczona krzyżem walecznych.

Jest to „Złota Księga" cichych bohaterek, które ogarnął święty ogień poświęcenia dla dobrej sprawy. Wszystkie te harcerki, składając z życia ofiare dla Ojczyzny, nie wahały się, bo im tak prawo skautowe nakazywało.

M. Kostrzewa.

TENIS

(Ciąg dalszy)

Service (podanie piłki). trzymając rakietę sposobem I, nie zmieniamy chwytu. Przy sposobie II ta sama zmiana co do backhandu. Serwis jest atakiem i bardzo poważnym atutem w grze, to też trzeba go dobrze wystudjować, tembardziej, że jest to uderzenie trudne. Stojąc za placem tuż przed linją, lewym bokiem do siatki podrzuca gracz piłkę swobodnie w górę do wysokości mniej więcej 80 — 100 cm. Następuje zamach: trzymając rakietę przed sobą (ręka luźna w przegubie) przenosimy ją rozmachem na prawo wtył tak, aby głowa rakiety niemal dotknęła łopatki, poczem uderzamy piłkę zatoczywszy łuk nad głową i przeciągamy rakietę na prawo wdół. Uderza się mając rękę wyciągniętą w górę. Bije się oczywiście całem ciężarem ciała, wydatnie pochylając się przytem naprzód do momentu tracenia równowagi,, gdyż wówczas serwis nie męczy, a piłka jest szybka i silna. Zamach do tyłu wykonywa się na prawej nodze, zginając ją lekko, przy uderzeniu przechodzi się na lewą nogę. Nie trzeba przy podaniu podskakiwać, lecz wspiąć się na palce, aby piłkę uderzyć z najwyższego punktu. Nie wolno przekraczać linji przy serwisie. Piłka trafić musi poza siatkę, w kwadrat przeciwnika, przed linją podania, lub na nią nigdy poza tę linję. Ćwicząc serwis trzeba unikać walenia piłek, lub t. zw. „baloników", obie piłki powinny mieć tą samą siłę, przyczem druga może być lekko „liftowana", czyli mieć nieco ruchu wirowego, dla większej szybkości, celności oraz trudnego, „wyprowadzającego" odskoku.

Ruch wirowy piłek:

Jeśli nadamy piłce ruch wirowy naprzód przez nakrycie jej rakietą przy uderzeniu jakgdyby ścinając jej powierzchnię, to lot jej będzie niski, a kozioł szybki i wysoki (jest to t. zw. drive).

Jeśli ściąć piłkę przeciągając rakietę pod nią, nadaje się piłce ruch wirowy wsteczny, wskutek czego lot jej będzie zwolniony, a kozioł cofnięty (Jest to t. zw. czop).

Zależnie również od tego, czy piłkę ciśniemy w prawo, czy też w lewo, tor jej lotu będzie wygięty i odskok skierowany w odpowiednią stronę.

Czop jest uderzeniem taktycznem, podczas, gdy drive pozostaje uderzeniem podstawowem przy grze z głębi kortu.

Volley (uderzenie piłki bez kozła, z lotu): Uderzenie to wykonywa się, z pozycji przy siatce w odległości 1—3 m. Ustawienie do piłek takie same, jak przy grze z głębi kortu, ale zamach jest minimalny i bez przeciągnięcia rakiety, co ma zastosowanie tylko przy długich piłkach. Zato odbija się piłkę w biegu, dzięki czemu ma ona większą siłę oraz szybkość. Należy brać piłki jaknajbliżej przy siatce, gdyż wówczas są one celniejsze i prędzej wracają do przeciwnika, nie zostawiając mu czasu na odbicie.

Ponieważ zaś piłka, aby była skuteczna musi być uderzona w kierunku zgóry nadół lepiej jest brać piłkę, zanim lot jej zniży się poniżej poziomu siatki. Początkujący powinien uczyć się tego odbicia narazie przez nadstawianie rakiety z naprężonym przegubem, później dopiero ćwiczyć w biegu i z małym zamachem.



[illegible]

A teraz *smash* (uderzenie piłki z lotu nad głową): ustawienie się do tej piłki i zamach są takie same jak przy serwis e, z tą różnicą, że rakieta zatacza łuk nad prawem ramieniem wprost, zamiast w kierunku na prawo. Uderzać należy w momencie, kiedy piłka znajduje się wprost nad głową, a ponieważ smecz musi być wykonany zawsze z dużą siłą, trzeba uderzenie to zaczynać bardzo lekko, aby nauczyć się uderzać zupełnie pewnie i celnie. Piłka taka jest bardzo poważnym atutem w ręku gracza, o ile jest celna i mo- [illegible]



Halfvolley (uderzenie piłki z półlotu): w chwili, gdy piłka strzelona nam pod nogi styka się z ziemią lub natychmiast po jej dobiciu, nakrywamy ją rakietą z silnem przeciągnięciem naprzód.

Jest to piłka najczęściej niespodziewana i bardzo trudna do odbicia, ale halfvolleyem można zaskoczyć przeciwnika, zdobywając tem samem punkt.

Ucząc się gry w tennis, należy zaczynać od odbijania piłek z głębi kortu, następnie dopiero piłek przy siatce, jako dużo trudniejszych i wymagających pewnego uderzenia. Piłki długie są podstawą gry i ćwiczyć należy równomiernie forehand, jak i backhand, bacząc, aby piłka padała tuż przed ostatnią linją przeciwnika. Lepiej jest na początku grać słabemi piłkami, ale umieszczać je celnie, niż walić na oślep, co nigdy do dobrych rezultatów nie prowadzi, skazując tennisistę na utratę punktów. Najwygodniej jest uderzać piłkę z kozła na wysokości górnej części tułowia, gdyż piłki niższe są o wiele mniej łatwe, a wyższe z backhandu zaliczają się już wogóle do najtrudniejszych.

Reasumując powyższe uwagi podkreślić warto zasadnicze przepisy przy nauce tennisa. A więc:

I) właściwe i wczesne ustawianie się oraz wczesny start do piłek

II) powolny i wczesny zamach rakiety,

III) skoncentrowanie wzroku na piłce do chwili uderzenia,

IV) opanowanie celności piłek przy powolnem wzmacnianiu uderzenia,

V) przyswojenie sobie podstawowego uderzenia z głębi kortu,

VI) stopniowe przejście do piłek trudniejszych: ściętych, z pozycji przy siatce, smeczów i halfvolley ow.

Prawidła gry.

Rozpoczynając grę przeciwnicy stają po obu stronach siatki, przyczem podający zajmuje stanowisko tuż za główną linją, trochę na prawo od jej środka. Serwując nie wolno przekraczać linji głównej ani też odrywać od ziemi obydwu nóg naraz. Serwuje się naukos, t. j. z prawej strony placu w lewe pole podania, licząc od serwującego. Pole podania zawarte jest w czterech linjach: siatki, linji podania, linji środkowej, oraz bocznej. Piłka może trafiać w jedną z tych linji, nigdy poza nie, również nie może się odbijać przed zetknięciem z ziemią o jakąś część urządzenia. O ile piłka była zła, podaje się drugą. Podanie następuje w chwili, gdy przeciwnik powie, że jest gotów. Serwujący wygrywa punkt: o ile przyjmujący odbije ją źle lub nie odbije wcale, jakoteż wówczas nawet jeśli piłka dotknie przyjmującego, zanim uderzy o ziemię. Podaje się piłki po każdym gemie na zmianę z przeciwnikiem. Przyjmujący wygrywa punkt, jeśli serwujący poda 2 z kolei złe piłki.

Gracz przegrywa punkt: o ile uderzy piłkę z drugiego kozła lub nie trafi jej wcale, jeśli odbijając trafi piłką w siatkę lub poza plac., oraz jeśli piłka jego odbije się o jego własną połowę kortu. Również za przegraną liczy się piłka odbita zanim przejdzie przez siatkę. Odbicie liczy się jako dobre: o ile piłka padnie wewnątrz boiska, a także, jeśli padnie na linję, lub przed uderzeniem o ziemię dotknie w przelocie siatki czy słupka.

Gem czyli gra składa się minimum z czterech punktów.

Punkty wygrane kolejno przez gracza liczą się następująco: pierwszy punkt — 15, drugi— 30, trzeci — 40, czwarty — gem.

Jeśli obydwaj gracze mają po 30, to o gemie decyduje zdobycie dwóch kolejnych punktów.

Jeśli gracze mają po 40, wówczas o gemie decyduje jeden wygrany punkt.

Stan gry po 30 nazywa się równowagą, następny punkt nazywa się przewagą, stan po 40 znowu równowagą, a następnie punkt daje gema.

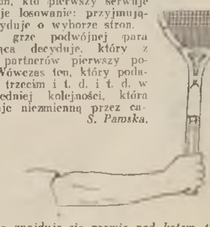
Zasadniczo wystarcza do seta sześć gemów i ten który pierwszy je zdobędzie wygrywa seta. Jednak o ile gracze wyrównali ilość gemów, to o wygranym secie decyduje przewaga dwóch.

Co drugi gem gracze zmieniają miejsca poczynając od pierwszej gry. Zmiana jest również i po secie; partja jest pięciosetowa max. i trzysetowa min. (przy grze mieszanej).

O tem, kto pierwszy serwuje decyduje losowanie: przyjmujący decyduje o wyborze stron.

Przy grze podwójnej para serwująca decyduje, który z dwóch partnerów pierwszy podaje. Wówczas ten, który podawał w trzecim i t. d. i t. d. w odpowiedniej kolejności, która pozostaje niezmienną przez cały set.

S. Pawska.



...rakieta znajduje się prawie pod kątem 45°do linji przedramienia...

MY I ONE

Agnieszka kuje łacinę.

— Mamo. Czy wiesz, co to znaczy: — „gutta cavat lapidem — consumitur anulus usu?"

— Doprawdy, nie wiem, Agnieszko. Nie uczyłam się łaciny.

— Prawda.

Lekki, prawie niedostrzegalny, a przecież... przecież ironiczny uśmiech podnosi kąty ust Agnieszki. Matka nie wie tylu rzeczy... Naprawdę: to równanie z X^3 było dla niej nie do pojęcia! Dawniej tylu rzeczy nie wiedziano. Nie wiedziały zwłaszcza one, dziewczęta „tamtych" czasów. Nic o telefonie, radjo, komunikacji lotniczej, tajemniczych, niewidzialnych promieniach.

Czasy babki, matki i czasy jej, Agnieszki — to jakby całkiem inne światy.

— Hallo! Kto mówi?

Mama, jako młodziutka osóbka (sztywno się trzymająca w kleszczach gorsetu) „wstydziła się" telefonować! Czy to nie śmieszne? Jak to można?! Jak można?!

Agnieszka myśli:

— jakby to było dziwnie: — „odjąć" czas mamy — od czasu babci. Czas babci minus czas mamy równa się: koleje, pierwszy samochód, balony (tak!) oświetlenie gazowe... A teraz: — czas mamy minus czas Agnieszki równa się: — samochody, elektryczność, radjo, promienie Roentgena... Dziwy... Dziwy... Agnieszka marzy o cudackiem odejmowaniu. Czyżby te różnice — były właśnie miarą tego, co się nazywa „postępem"? Czyż to wszystko, co różni Agnieszkę od babki i od matki jest krokiem naprzód?

Krótka sukienka, obcięte (jakże wygodne!) włosy, śmiałość życiowa, o ileż szersza wiedza? Czy ten wielki skok naprzód zrobiła Agnieszka, sama, o własnych młodych siłach? Agnieszka, powojenna buńczuczna osobistość, która (napewno!) będzie adwokatem!

Prawdać! Przecież cioteczna babka, cudaczna stara panna, chodziła też na uniwersytet, na fizykę. I nawet ją skończyła... Więc? Więc chyba i wtedy, w czasach młodości mamy, coś się zaczęło dziać. Wtedy żyły... zaraz, zaraz... jak to się mówi? Aha: „prekursorki", takich, jak ona, Agnieszka. Były śmieszne, wykoszlawione „nienormalnością" życia (wtedy „to" właśnie było nienormalne), ale były. Zaczęły. Zapoczątkowały budowanie nowych form życia dla niej. Dla śmiałej Agnieszki, przed którą stoją otworem wszystkie uniwersytety świata, wszystkie możliwości zawodowe.









Czasy Agnieszki, to nie taka prosta rzecz: nie wybuchły, jak złota trzaskająca rakieta z dawnych ciemnych stuleci. Swoboda wszelkich ruchów, możność życia według własnych upodobań i zdolności — nie: napewno: to nie wzięło się tak ni stąd ni zowąd. Te śmieszne osoby „emancypantki", kształcące się chyłkiem, traktowane z pobłażliwą pogardą, one napewno mają w tej sprawie znaczenie. Kto wie? Może właśnie one są tu najważniejsze. Dlatego, że się odważyły. Pierwsze. Wbrew wszystkiemu.

Agnieszce zaczyna huczeć w głowie. Myśli się kłębią.

Więc tym odważnym było wtedy tak ciężko! O ileż łatwiej dziś być odważną. To już doprawdy przestało być zasługą. Dziś tak trzeba, aby nie być śmieszną. Całkiem naodwrót jak dawniej.

Tak, ale miły Boże, te wszystkie „normalne", przeciętne dziewczyny tamtych czasów — czemże one były?

Agnieszka podnosi oczy na mur przeciwległego domu. Tam, w tych małych klatkach mieszkań h u c z y życie. „Śniadanie"! „Obiad"! „Kolacja"!

— Dzieci! Do stołu!

To wołają one — matki. Przez ile lat, ile tysięcy razy nawoływały, zachęcały, broniły? Jakaż jest nudna ta matczyńska robota! Byłaby chyba nie do zniesienia, gdyby nie — miłość. Miłość pracowita i czynna. Od wieczora do rana. Zawsze! Zawsze! I coraz to intensywniejsza, coraz b a r d z i e j skomplikowana. Dzieci rosną. Ogromnieje, potężnieje ich świat. Już nie wszystko pojąć można, już nie wszystko można zrozumieć mózgiem wymęczonym troskami wielkiej miłości. A oto przybywają coraz to nowe dziwy. Aeroplany, radja, telewizje.

— Mamo, ty tego nie z r o z u m i e s z... Daj pokój, mamo. Dziś się myśli inaczej.

Kiedy ustępuje ona, matka często wbrew sobie samej, w jej rezygnacji jest jednak wiele r a d o ś c i. Dzieci ją przerosły. To idzie, gna, pędzi nowe życie, ich własne. Postęp! P o s t ę p! Trudno: nie sposób było to wszystko nowe zgłębić i pojąć. To jest świat dla dzieci. A dzieci są dla świata.





Mamo! Mamo! Ty i twoi ludzie budowaliście też ten świat. Świat nowy, w którym wzrosła harda „miss Universum", dla której niema przeszkód w biegu przez życie. To twoje ręce nieśmiałe jeszcze, a przecież mądre i mocne rzuciły jasny most, po którym biegniemy w jutro.

Pokolenie matki, pokolenie przełomu zna nietylko kobiety serca. Nie bądźmy za dumne, nie jesteśmy pierwszemi zawodniczkami wydzierającemi mężczyznom zwycięstwa w dziedzinie nauki, sztuki, życia politycznego, życia społecznego. Sprobujmy pogadać z cioteczną babką, która skończyła fizykę; może być naprawdę ciekawa.

Do matki „przekonamy" się napewno. Będzie kiedyś jakiś smutny dzień, kiedy coś się zagmatwa, kiedy będzie się cierpieć i będzie bardzo ciężko i bardzo źle. Wtedy dobrze będzie czuć na barkach życzliwe ręce. Wtedy, choć przecież „starzy nic nie wiedzą" młode usta wyszepczą:

— Mamo... mamo... poradź. *h. m.*

LUDWIK SOLSKI

Aby dostać się do kancelarji Teatru Narodowego, trzeba przejść przez olbrzymie podwórze, zawalone staremi dekoracjami, potem jest mały, oszklony ganeczek, a wreszcie marmurowe schody, korytarze, po których zaaferowani przechodzą panie i panowie o twarzach dobrze nam znanych ze sceny. Wyglądają coprawda inaczej, niż na scenie: są mniejsi, mniej smukli, wyzbyci t. zw. „wewnętrznego ognia", będącego według powszechnego mniemania nieodłącznym rekwizytem aktora, są brzydsi, pogrążeni w osobistych troskach, a przez to uwolnieni od pozy, sympatyczniejsi, ludzcy.

Gabinet dyrektora Solskiego przypomina jedną z pięknych dekoracyj Frycza; staroświeckie, mahoniowe meble, mahoniowy otwarty fortepian, przez olbrzymie, zajmujące całą ścianę, półokrągłe okno wpada fala światła, rzucająca złote refleksy na piękne sprzęty.

Przed biurkiem stoi starszy pan, o miłej uprzejmej twarzy i bardzo dobrych, serdecznych oczach. Taki.. ta-[illegible]

— Pani przychodzi ze „Św. Dziewcząt"? No, bardzo mi to pochlebia, że młode panny jeszcze się interesują moją osobą. Myślałem, że już skończyły się dla mnie te czasy, gdy otrzymywałem rozmaite wyznania na różowym papie-[illegible], a tutaj widzę, że jestem jeszcze czegoś wart.



Ludwik Solski z wnuczkiem.

Naokoło jasnych oczu zebrały się promyki zmarszczek, twarz nabrała jeszcze bardziej pogo-dnego i dobrodusznego [illegible] p. Solski śmieje się.

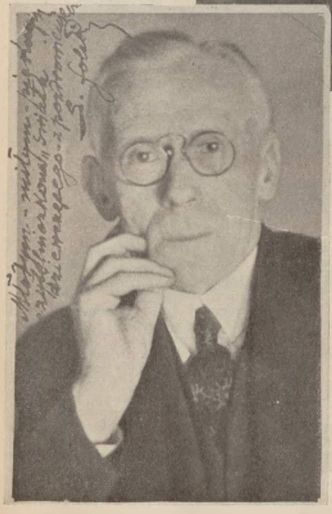
— Ano proszę bardzo — służę [illegible]

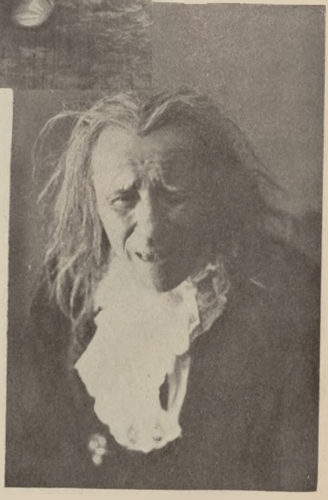
— Przedewszystkiem chcielibyśmy dowiedzieć się, jakie ma pan dyrektor plany na przyszłość — osobiste i związane z te-[illegible]

— W moim wieku, droga pani, już nie ma się żadnych planów na przyszłość, to znaczy planów osobistych, gdyż całe życie jest związane z teatrem, a co się tyczy planów teatralnych... są one bardzo rozległe, ale cóż, kiedy w wykonaniu ich przeszkadza brak pewnych zasadniczych czynników, przedewszystkiem posucha na autorów. Kancelarja teatrów miejskich zarzucona jest rękopisami, ale mało kiedy udaje się wydobyć wśród nich coś rzeczywiście interesującego.

— Czem objaśnić można brak momentu społecznego w wystawianych przez teatry polskie sztukach? Przypuszczam, że takie byłyby chyba najbardziej interesujące dla widza. Przecież nasze sztuki wydają się czasem wprost mdłemi w porównaniu z zagranicą.

— Otóż to właśnie. Szukamy takiej sztuki, pragniemy jej, ale cóż, kiedy nie możemy jej znaleźć. Chcielibyśmy wystawić sztukę polskiego autora, któraby wstrząsnęła umysłami, znalazła jakiś żywy, gorący oddźwięk w tłumach, wywołałaby coś. Przecież wystawić taką sztukę jest ambicją każdego reżysera. Ale i tutaj musi być jeden zasadniczy warunek: sztuka taka musi posiadać niewątpliwe wartości literackie, artystyczne, gdyż inaczej staje się reportażem. Teraz jest nam trudniej o sztukę, niż wtedy, gdy byłem dyrektorem teatru krakowskiego, a musiałem tam co tydzień dawać premjerę, a raz na tydzień wznowienie. Wtedy to mieliśmy ten wspaniały, „marmurowy" repertuar: Wyspiańskiego, Tołstoja, Gorkija, Rydla, Przybyszewskiego, Kisielewskiego, Shawa, Roztworowskiego, ale przeszkodziły temu względy natury technicznej. A propos: po raz pierwszy wystawiono „Judasza" podczas moich „rządów" krakowskich. Pierwszą sztukę Roztworowskiego musiałem po 3-ch





Solski w roli „Harpagona".

dniach zdjąć z afisza — omówione w niej bowiem były stosunki miejscowe, co nie było w smak sferom arystokratycznym Krakowa. „Judasz" zato spotkał się z ogólnym poklaskiem. Z największym jednak entuzjazmem przyjęto premjerę „Wesela". Kraków szalał, odgłosy krakowskiej premjery rozeszły się po całym kraju. Tak, proszę pani, to były niezapomniane, najcudowniejsze chwile mojego życia. Wspominam o nich z dumą i radością. Dostąpiłem najwyższego zaszczytu w życiu reżysera i artysty polskiego: współpracowałem z Wyspiańskim i Przybyszewskim, grałem w ich sztukach ku ich zadowoleniu — są to zresztą sprawy ogólnie znane i nie warto ich powtarzać. Jeszcze raz tylko powiem, że jeżeli mogę być z czegoś dumny — to chyba tylko z tego.

— A co pan dyrektor sądzi wogóle o młodem pokoleniu aktorskiem?

— Trudno mi coś konkretnego na ten temat powiedzieć. Lata dopiero pokażą, co to będzie z tych młodych. Są pomiędzy nimi niektórzy bezwzględnie zdolni, niemal utalentowani, przesadą jednakże byłoby, w tym wypadku użycie określenia „talent wielkiej miary". Powtarzam zresztą to, co już powiedziałem: jedynie lata usilnej pracy mogą coś pokazać. Dlatego też wolę narazie powstrzymać się od wyrażenia mego zdania w tej kwestji.

— Czem można objaśnić ten brak talentów prawdziwie wielkiej miary?

— Znowuż trudne pytanie i kłopotliwa odpowiedź. Myślę, że może wpłynęło na to zbytnie, że tak się wyrażę spopularyzowanie sztuki scenicznej. Za moich czasów szedł na scenę ten tylko, kto czuł prawdziwe powołanie. Musiał przecież tyle zwalczyć po drodze do niepewnych wawrzynów: sprzeciw rodziny — rzucano gromy na takiego „występcę", przeklinano nieraz, rodzina z wzgardą odwracała się od niego, po pokonaniu tego sprzeciwu, względnie zrezygnowaniu z błogosławieństwa rodzicielskiego następowały lata głodu i znoju.

Ile to musiał się taki biedny aktorzyna naglodzić, zanim otrzymał pierwszą płatną rolę! A i ta „gaża" była wprost nieprawdopodobnie znikoma — tyle ot, żeby nie umrzeć. Ile razy za mojej praktyki zdarzało się, że aktorzy rezygnowali z gaży by podreperować kasę Teatru! Trudno opowiedzieć tu o wszystkich rozczarowaniach początkującego aktora. Czy pani sobie wyobraża np. miny aktorów, gdy pewnego pięknego dnia dowiadują się, że opuścił ich dyrektor? Miałem to z ś. p. Trapszą, ojcem ś. p. Tekli. Biedaczysko póty cierpiał i zmagał się z losem, aż wreszcie machnął z rezygnacją ręką i umknął pozostawiając rodzinę na naszej, aktorskiej opiece. Wypadek ten jednakże nie wpłynął ani na nas, ani też na niego, gdyż niedługo potem znów założył teatr, do którego zaangażował dawny zespół. Było więc, jak widzi pani dużo zapału, wiary w siebie, nieustraszonej odwagi. Aktor, który przetrwał przez te pierwsze piekielne lata zachowując tę wiarę w siebie był już prawdziwym aktorem, takim, dla któ-
[illegible]
śnie ten głód i niedostatek wyrabiał prawdziwy talent. Stara, ale prawdziwa gadka o metalu w ogniu. Tymczasem dzisiaj... szkoły dramatyczne przepełnione są adeptami i adeptkami. Kończy sobie takie młodzież gimnazjum i idzie na kurs, który trwa 3 lata. Po trzech latach ma dyplom i może już zacząć występować. I tutaj okazuje się, że te lata poszły na marne, gdyż ani ruszyć się taki aktor nie umie, ani mówić. Te same trzy lata spędzone w teatrze urobiłyby już gotowego aktora, tutaj musi zaczynać, właściwie mówiąc od początku. A pozatem ta sprawa dyplomu, bez którego nie można występować. Ileż prawdziwych talentów tym sposobem marnuje się! Prawdziwy talent nie potrzebuje żadnych papierków. Sprawa ta zresztą w swoim czasie poruszana była niejednokrotnie przez wielu publicystów.

A zresztą... nie należy znowuż zapatrywać się na to tak pesymistycznie. Bo jednak, wierzę w to mocno, scena polska sławna na cały świat, wskrzesi jeszcze tradycje wspaniałe Modrzejewskiej i Pawlikowskiego. *Molly.*

BRATNIE DUSZE

Kochane mieszkanki Poznania!

Za pośrednictwem mojej ulubionej gazetki, jaką jest „Świat Dziewcząt" pragnęłabym zapoznać się z rówieśniczką, w której chciałabym znaleźć nietylko bratnią duszę, ale i towarzyszkę. Jestem w tem nieszczęśliwem położeniu, że koleżanki moje, to osoby znacznie starsze, a przytem poważne. Trudno od nich wymagać, ażeby mogły mnie zrozumieć, a rzadziej jeszcze spędzić wolny czas wspólnie. Może właśnie „Świat Dziewcząt" przyjdzie mi z pomocą i dlatego zaznaczam: że mam lat 18, jestem trochę poważna i myśląca. Przeszłam w swem życiu dużo smutnych rzeczy. Naogół jestem bardzo lubiana. Lubię się śmiać, to też bratnia duszyczka mogłaby być wesołą. Kocham b. przyrodę, lubię wieś, lubię teatr (kino mniej), jestem amatorką sportu, uprawiam wioślarstwo.

Zatem, która z inteligentnych, wesołych, miłych panienek zechce mieć szczerą i oddaną przyjaciółkę lub towarzyszkę, albo, która w swej dobroci przyjmie do swego grona samotną duszę to b. proszę pierwszą korespondencję swą skierować pod adres: Poznań 3, Poste Restante dla Tesi — 54.

P. S. Rówieśnice z innych miejscowości, upraszam o pocieszenie mnie, zajęcie ciekawym liścikiem, etc. dla Tesi. Adres powyżej.

Do wszystkich!

Jestem wysoką czternastoletnią dziewczynką, kocham bardzo przyrodę, gwiazdy i słońce, mam podobno bardzo dobre serce. Opiekuję się rodzeństwem utrzymuję z lekcyj siebie i małą siostrzyczkę. Moja mamusia mieszka w Gdańsku z tatusiem. Bardzo lubię pracować, uprawiam dużo sportów, śpiewam i tańczę. Która z czytelniczek (o ile możności starszych) napisze do mnie? Mój adres: Kraków Poste-restante. Czarna Lilja.

KUPON Nr. 2
I-go KONKURSU LITERACKIEGO ŚWIATA DZIEWCZĄT

Kochana Gruzinko!

Przeglądając dzisiaj numer „Świata Dziewcząt", strasznie się ucieszyłam, że będę mogła poznać Gruzinkę, tembardziej, że już mam bzika na punkcie koni, strasznie kocham konie, nawet chodzę na wykłady „hodowla koni", jako słuchacz nadzwyczajny, szkoda, że Pani nie może chodzić ze mną.

Ja mam lat 19, ale już na siebie pracuję, mam zajęcie od 9—1. A całe popołudnie poświęcam sportom i troszkę robotom kobiecym.

Tu jest bardzo trudno jeździć konno a ja nie mam własnych. Ale, że należę do Strzelca akademickiego, więc jeżdżę konno z panami, bo żadna z członkiń nie jeździ.

Nie ma Pani pojęcia, jak chciałabym mieć przyjaciółkę, która lubi konie i sporty.

Żałuję bardzo, że tak daleko od siebie mieszkamy, ale może kiedyś się poznamy, strasznie bym chciała.

Całuję mocno. Adres w Redakcji.

Jaga.

Kochany Bartniku!

Szalenie mi się podobałeś wraz z twojemi pszczołami, wprawdzie nie nadarzyła mi się nigdy sposobność zawarcia z niemi bliższej znajomości, ale się ich nie obawiam, miód jest taki słodki, dlaczegóżby i one nie miały być słodkie. Ja tak samo, jak ty kocham wieś i marzę o podróży krajoznawczej po Polsce, tymczasem, co roku wyczekuję z niecierpliwością szkolnych wycieczek. Ach! jak to przyjemnie przemierzać dumnym krokiem ulice naszego szanownego grodu, dźwigając solidnie wypchany przez mateczkę, która nigdy nie chce zrozumieć, że sweter, „nadmiar jadła" i t. p. rzeczy nie są mi wcale potrzebne, plecak. A potem pociąg paf, paf, paf, koła uderzają o szyny i „hajda w świat". Miałabym Ci tyle, tyle do opowiedzenia, ale boję się zajmować zbyt dużo miejsca, a przytem ta nieszczęsna algebra czeka i zegar bije 9-tą. Jeśli więc chciałabyś dowiedzieć się czegoś więcej o mnie,
[illegible]
jasnym „łebkiem" a otrzymasz natychmiast sążnistą odpowiedź od

Maji.

„Staszeńce".

Otóż Staszeńka zapytuje z numerów „Świata Dz.", ktoby chciał być artystką i dlaczego?

Otóż ja chciałabym być tancerką, dlatego, że taniec to mój żywioł. Dla mnie taniec jest dopełnieniem muzyki, to słowa melodyj. Nie dlatego bym chciała być artystką, by zdobyć sławę i majątek, nie nęcą mnie te rzeczy, lecz nęci sam taniec. Wiem, że życie artystów jest usłane cierniami, nie jak wszyscy myślą różami, lecz to mnie nie zraża i marzeniem moim jest być tancerką.

Proszę, może jeszcze, która z Was zabierze głos w tej sprawie jest ona bardzo ciekawa a także i ciekawy Wasz sąd.

„Promyczek".

„Chince".

Dziękuję bardzo za miły liścik, na który jednak nie odpowiedziałam, proszę się nie gniewać na mnie, lecz nie mogę być „Bratnią duszyczką" Chinki.

[illegible]

Hallo! *„Gruzinko"*, czybyś nie chciała do mnie napisać. Adres mój w redakcji.

„Promyczek".



Rys. 3.

KONKURS LITERACKI ŚWIATA DZIEWCZĄT

Rys. 4.



Podajemy w tym numerze rysunek 3-ci i 4-ty konkursu literackiego „Św. Dziewcząt". Raz jeszcze przypominamy, że rozwiązania według wzoru, zawartego w numerze 13-ym, należy nadsyłać wszystkie razem, nie osobno i do koperty z rozwiązaniami załączyć należy małą kopertkę (może być własnej roboty) z imieniem i nazwiskiem oraz adresem autorki rozwiązania. Na małej kopertce musi być napisane godło.

Rozwiązania nadsyłać można już po ukazaniu się rysunków 7-go i 8-go czyli po ukończeniu konkursu. Dla ułatwienia odgadywania autora i dzieła z obrazków zaznaczamy, że brana jest pod uwagę całość literatury polskiej, t. zn. utwory zarówno żyjących, jak nieżyjących autorów. Uwzględniana jest również nowoczesna literatura dla młodzieży.

Każdy autor występuje w jednym obrazku. Należy odgadywać scenę, utwór i autora według schematu, podanego w numerze 13-ym. Do rozwiązań należy dołączyć 4-ry kupony z numerów, zawierających rysunki. Obecnie podajemy kupon drugi.

GASTON CH. RICHARD



CZAR SKRZYDEŁ

TŁOM. STEFANJA HEYMANOWA

(Dalszy ciąg)

— Chce pani? — spytał Fernand.

Skinęła potakująco głową.

Wstał, objął ją i pod krzyżowym ogniem spojrzeń posuwali się w barbarzyńskim rytmie murzyńskiej muzyki, po posadzce gładkiej, jak [illegible]

Patrzano na nich... Ale oni nie widzieli nikogo.

Oszałamiający rytm tańca przenikał ich oboje... Zdawali się być odurzeni tańcem i tworząc tak piękną parę sami byli uosobieniem harmonji.

Nagle, jazz umilkł, zatrzymując się na dziwacznym kwiku saksofonu. Janka wróciła na swoje miejsce, trochę bardziej zaróżowiona.

— Wie pani, Janko, że pani tańczy wprost znakomicie — rzekł Fernand. — Czy pani dużo tańczyła w Nantes.

— Trzy, cztery razy na rok, na balach urządzanych przez tamtejsze towarzystwo. Nowych tańców nauczyłam się na skromnych kompletach rodzinych, ażeby już nie być zbyt staromodną.

Dokończyli szybko jeść obiad i pieszo poszli do Opery.

Mieli dwa fotele w parterze. Janka w milczeniu rozglądała się po sali, podziwiała bogactwo ornamentów oraz zbytkowność u często i śmiałość wieczorowych tualet pań... Fernand przyciszonym głosem wymieniał nazwiska obecnych na sali popularnych lub sławnych osobistości, wzrokiem wskazywał przedstawicieli arystokracji i finansów a także piękności, które należało znać.

Wreszcie kurtyna poszła w górę i Janka wkrótce zatopiła się całkowicie w przeciągłych i głębokich tonach naprawdę biblijnej muzyki Artura Honeggera...

— — — — — — — — — — — — —

Takiego powodzenia Opera już dawno nie oglądała. Był to jeden z piękniejszych wieczorów, tryumf — muzyki.

W szatni, Janka włożyła płaszcz z szarego velour u, pożyczony jej przez panią Durand-Gardel.

Na dworze było sucho, lecz chłodno.

— Czy pójdziemy, gdzieś na kolację? — spytał Fernand.

— Nie, dziękuję, doprawdy... Ale chętnie bym się przeszła trochę. A pan?

— Z przyjemnością.

Doszli do kościoła Madelaine, idąc dalej ulicą Royale. Fernand ujął młodą dziewczynę pod rękę i jego dłoń od czasu do czasu, zaciskała się nerwowo na jej dłoni.

Nagle, wkradło się między nich uczucie zażenowania. Przestali rozmawiać i przymus ten stawał się z minuty na minutę, coraz uciążliwszy.

W milczeniu przeszli przez Plac Zgody, i wyszli na Pola Elizejskie.

— Janko... — szepnął wreszcie Fernand.

Zadrżała i zwróciła ku niemu twarz o oczach, w których malował się przestrach.

— Janko — powtórzył młody człowiek, trochę drżącym głosem. — Przeżyłem dzisiaj, u boku pani, najpiękniejsze godziny mego życia i zależy mi na tem, ażeby pani to wiedziała.

— Bardzo się z tego cieszę, Fernandzie — odrzekła, zmieszana. — Ja ze swej strony też zawdzięczam panu wieczór, jakiego dotychczas nie miałam...

— Możemy przeżyć ich więcej, jeżeli pani zechce — rzekł z powstrzymywaną namiętnością. — Wieczory jeszcze piękniejsze i doskonalsze, w całkowitem zespoleniu naszych dusz... w absolutnej harmonji... obok siebie... serce obok serca!

— Co pan chce powiedzieć? — wyszeptała.

— Czy mnie pani nie rozumie, Janko? — spytał, zatrzymując się.

Zwrócił się ku niej i jego nerwowa ręka ujęła obnażone ramię dziewczęcia.

— Czy pani nie rozumie, że panią kocham? — rzekł wreszcie, głosem, który zdradzał wyraźnie jego głębokie wzruszenie.

— Fernandzie! Błagam pana, niech pan przestanie — powiedziała, blednąc mocno.

— Dlaczego mam przestać? Dlaczego nie mam wyznać pani swej miłości? Jest pani piękna, czysta, dumna, prawdziwa córa Francji. Każdy mężczyzna z dumą może powierzyć pani straż swego honoru i nadzieję swej rasy. Pretenduję do zaszczytu stania się tym mężczyzną. I przysięgam pani...

— Nie! Nie!... Niech mi pan nie mówi nic więcej, Fernandzie.

— Błagam panią!.. — podjął znów młody człowiek. — Niech mnie pani wysłucha, niech pani zgodzi się na moją prośbę i zostanie moją żoną...

— Czy pan nie był narzeczonym, albo prawie narzeczonym Magdaleny?

— Magdaleny... — powtórzył cichutko.

Umilkł, westchnął, poczem zaczął znowu mówić:

— Gdybym nie spotkał pani, Janko, mógłbym, przyznaję to, złączyć swój los z losem siostry mego towarzysza broni. Ale pojawiła się pani... i nie mogę myśleć o nikim, prócz pani! Mam prawo uczciwie ofiarować pani swoje nazwisko, swój skromny mająteczek i swoją przyszłość, albowiem nigdy, nigdy — niech mi pani wierzy — nie zamieniłem z Magdaleną ani słowa o miłości. Moje braterskie uczucie dla niej może z czasem przerodziłoby się w miłość, w małżeńskie przywiązanie, ale przysięgam pani, że tymczasem, nie czuję nic z tego.

— Magdalena kocha pana — rzekła Janka cichym głosem.

— A pani? czy nie kocha mnie pani wcale, ani trochę? — pytał namiętnie.

— Niech mnie pan nie pyta — odrzekła dziewczyna. — Nie mogę, nie chcę, nie powinnam słuchać pana w tej chwili. Później... kiedyś... może.

— Później? Dlaczego później?

— Muszę sobie zapewnić przyszłość, urządzić życie...

— Zrobimy to razem...

— Nie! Chcę sama! — rzekła z siłą, a oczy jej zabłysły.

— Dlaczego? Bylibyśmy silniejsi, wspierając się wzajemnie...

— Dlaczego? Pyta mnie pan dlaczego? Będę szczera, Fernandzie. Dlatego, że pana jeszcze nie kocham!

— A więc mnie pani kiedyś pokocha? — rzekł, blednąc ze wzruszenia i radości.

— Nie wiem... Powiedziałam panu: „Później... może". Na razie, niech pan więcej odemnie nie wymaga. Mam w żyłach krew normandzką, a normandzkie dziewczyny nie są skore do miłości. Zato kiedy pokochają, to już na zawsze, albowiem ołtarz jaki stawiają bogu swego serca, jest z granitu. Niechaj pan będzie cierpliwy, niechaj pan potrafi czekać. W dniu, kiedy podam panu dłoń, mówiąc: „niech pan ją zatrzyma, Fernandzie", zjednoczę się z panem na całe życie, na dobry i zły los. Do tego czasu niech mnie pan nie próbuje kusić ani nakłaniać...

— Ach, pani jest okrutna! — rzekł, wzdychając.

— Jestem szczera, Fernandzie.

— Ale taki dzień nastąpi? — błagał.

— Może, jeżeli pan potrafi go sprowadzić — odrzekła, odwracając głowę.

— Co trzeba na to robić?

— Umieć czekać.

Skinęła na przejeżdżającą taksówkę.

Szofer podjechał i wychyliwszy się otworzył drzwiczki.

— Niech mi pani pozwoli się odwieść — poprosił Fernand.

Zawahała się lekko.

— Nie — rzekła wreszcie. — Powiedzieliśmy sobie dzisiaj wszystko, co należało powiedzieć. Unoszę pańskie słowa, jako cząstkę świętego ognia. Niechaj pan zapamięta moją obietnicę, przyjacielu, i zachowa ją w swem sercu.

— Przypieczętujmy nasz pakt choćby jednym pocałunkiem, Janko.

— Nie — rzekła prawie twardo. — Nasz pocałunek nie byłby jeszcze takim, który wiąże dwie dusze...

Fernand zdjął kapelusz, ujął piękną, białą dłoń, trochę rozgrzaną i przycisnął do niej swe gorące wargi.

Janka wskoczyła do taksówki i powiedziała adres szoferowi, który natychmiast ruszył z miejsca.

W chwilę później, Fernand widział jak czerwone światełko z tyłu taksówki, unoszącej dziewczynę, znikało za rogiem ulicy Antin.

W zamyśleniu, zmieszany, zawiedziony, a jednocześnie pełen tajemnej radości, zaczął iść ku domowi.

VIII. WYPADEK.

Na Boże Narodzenie, Janka wzięła tygodniowy urlop, który spędziła w Nantes u babki.

Pani de la Chantaignery przygotowała najlepsze smakołyki, ażeby uczcić godnie swą „małą ptaszynę". I Janka zakosztowała przy niej wszystkich rozkoszy odpoczynku.

Stara dama nie przestawała podziwiać swej wnuczki. Patrzała na nią i słuchała jej ciągle, z wyrazem zachwytu, który nie ustępował nawet w miarę, gdy się już do tej nowej Janki zaczynała przyzwyczajać. W tej wspaniałej sportsmence nie mogła odnaleźć skromnej stenotypistki, którą znała dotychczas. I w głębi duszy była tem trochę zaniepokojona.

W ciągu trzech miesięcy, które już upłynęły, Janka nabrała pewności siebie, z której sama nie zdawała sobie sprawy. Jeżeli nawet jej powściągliwość, ostrożność i poczucie taktu nie uległy zmianie, to nieśmiałość jej całkowicie znikła. Obcowanie ze sportowcami rozwinęło męską stronę jej natury. Będąc kobietą i to kobietą wyższego gatunku, z umysłu i uczuć, miała jednak duszę mężczyzny.

Zaraz po świętach przyszedł do niej poczciwy Lemonnier, szczęśliwy, że może z nią dłużej [illegible]

— Wie pani — rzekł — pani i ja moglibyśmy sprawić szefowi piękną niespodziankę.

— Jaką? — spytała Janka.

— „Kormoran I" jest gotowy, całkowicie gotowy. Jeżeli pani zechce, możemy mu go dostarczyć na lotnisko w Buc, jako upominek noworoczny...

— Ależ pan Durand-Gardel nie liczył na „Kormorana I" wcześniej, niż w pierwszych dniach lutego! — rzekła Janka. — Mógł pan zyskać cały miesiąc?!

Lemonnier aż nadął się z dumy.

— Ściślej, pięć tygodni — rzekł wesoło. — A na 2 pozostałych maszynach zyskamy sześć tygodni... Będą gotowe w sam raz na Okrężny lot Starego Kontynentu. W ten sposób nasze dwa asy będą mogły się wprawiać na pierwszym aparacie z tej serji, który zachowamy jako samolot szkolny. A piętnastego maja, Piotr na jednej maszynie, Fernand na drugiej, będą mogli popróbować szczęścia w locie, którego pierwszym etapem będzie Moskwa...

Zatrzymał się, pomyślał chwilę, poczem rzekł:

— Byłoby to naprawdę pięknie, żeby pani przyprowadziła im tę maszynkę, moja mała Janeczko. Jestem pewny, że sprawiłoby im to przyjemność.

Janka lekko się zarumieniła.

Niby w świetle błyskawicy ujrzała namiętną twarz Fernanda o oczach czarnych i palących, — piękne, jak z marmuru wykute oblicze Piotra, tak smutne od pewnego czasu, i — energiczną postać Klemensa Durand-Gardela o wyrazie twarzy często teraz zatroskanym.

— To duża odpowiedzialność, panie Lemonnier — rzekła.

— Proszę panią, oto tylko dlatego, że wiem, co pani potrafi...

(D. c. n.)

KURJER DEKADOWY Nr. 4 20.V. 1933 r.

Ubiegły tydzień przyniósł dwa ważkie wydarzenia w zakresie polityki zagranicznej. Mowa tu o znamiennym zwrocie, jakiego dokonała w ciągu ostatnich paru dni polityka Niemiec wobec dwu państw: Polski i Rosji. Jak pisaliśmy w ostatnim kurjerze dekadowym działalność nowego rządu Rzeszy i brutalne metody jakiemi się od samego początku posługiwał, wzburzyła przeciw Niemcom całą niemal opinję świata, nie wyłączając tych krajów, które jak Anglia np. posiadały najwięcej wyrozumiałości dla dążeń i roszczeń niemieckich. Niemcy zostały nagle odosobnione i ta nieoczekiwana izolacja ostudziła pierwszy zapał i zmusiła do odwrotu obecny rząd niemiecki. Tak więc, na podstawie jasno przez przedstawiciela Polski w Berlinie, dr. Wysockiego, postawionego pytania — jakim jest stosunek do nas obecnej Rzeszy — Kanclerz Hitler stwierdził, — „zdecydowany zamiar rządu niemieckiego utrzymywania swego nastawienia i postępowania wobec Polski jaknajściślej w ramach istniejących traktatów". W odpowiedzi na to, taką samą deklaracją zakończył tę ważką wymianę zdań wobec posła niemieckiego w Warszawie Minister Beck, który już w dn. 16 lutego w Sejmie powiedział wyraźnie: „Nasz stosunek do Niemiec i ich spraw będzie dokładnie taki sam, jak stosunek Niemiec do Polski. W praktyce więcej zależy w tej dziedzinie od Berlina, niż od Warszawy". Wbrew więc dotychczasowym swym twierdzeniom o konieczności rewizji traktatów, za wszelką cenę (ale przedewszystkiem siłą), musiał wódz partji hitlerowskiej, a obecny szef rządu niemieckiego stwierdzić bez ogródek, że postanowień tych traktatów ściśle przestrzegać będzie. To zwrot zasadniczy. Drugim równie zasadniczym wydarzeniem jest przedłużenie, odwlekane wciąż dotąd, wygasającego właśnie traktatu sowiecko - niemieckiego stanowiącego podstawę przyjaznego współżycia obu krajów. To zadokumentowanie przyjaźni wobec państwa o zasadach ściśle marksistowskich przez rząd Hitlera, który przecież tak niedawno zapowiadał całkowite zniszczenie marksizmu — jest drugim niemniej zasadniczym zwrotem. W tych warunkach powstawać jednak musi w opinji świata jedno pytanie — czy zwrot ten, który stanowi właściwie ustępstwo bojowego programu Hitlera, jest rzeczywistym przebudzeniem obecnego rządu Rzeszy, czy tylko zwrotem chwilowym, obliczonym na uspokojenie wzburzonej opinji świata i zapewnienie jej o pokojowych już nadal dążeniach Niemiec. Na pytanie to da odpowiedź najbliższa przyszłość, która wskaże czy za słowami ze strony Niemiec pójdą również i czyny. W każdym razie Polska, która już oddawna deklarowała swą gotowość zgodnego z Niemcami współżycia, musi oczekiwać od nich dalszych istotnych i rzetelnych dowodów zmiany ich dotychczasowego stanowiska.

WIZYTA HERRIOTA I MAC DONALDA W AMERYCE.

W tych dniach powrócili z Ameryki premjer angielski, Mac Donald i b. premjer francuski Herriot, którzy udali się do Waszyngtonu na zaproszenie nowoobranego prezydenta Stanów Zjednoczonych, Roosevelta. Celem tych wizyt były, jak ogólnie wiadomo, rozmowy przedwstępne przed mającą rozpocząć się niedługo w Londynie międzynarodową konferencję gospodarczą. Nie zdaje się jednak, aby osiągnięte zostały w czasie tych wizyt jakieś pozytywne wyniki, któreby ułatwiły ciężkie zadanie stojące przed tą właśnie konferencję, której głównym celem jest znalezienie skutecznych środków na wszechwładny kryzys światowy. Jednym z powodów tego właśnie kryzysu, jest konieczność płacenia przez dawnych sojuszników wielkiej potentatce, Ameryce, długów zaciągniętych podczas wojny jeszcze, a które przez te państwa z kolei miały być pokryte nałożonemi na Niemcy po wojnie odszkodowaniami. Tymczasem dzięki zręcznej taktyce niemieckiej, dowodzącej niemożności spłacania należnych sum, odszkodowania te skreślone zostały do minimum. Wpłynęły na to zresztą też nalegania Ameryki, która, posiadając wiele prywatnych wierzytelności w Niemczech (przeszło 1 miljard dolarów w złocie), obawiała się, że je straci, o ile Rzesza stanie się niewypłacalna z powodu wielkiego ciężaru odszkodowań. Ten stan rzeczy odbił się jednak fatalnie właśnie na wypłacalności państw sojuszniczych, które stanęły wobec konieczności płacenia swych długów Ameryce, nie otrzymując na nie przewidzianego pokrycia swych należności z Niemiec. Oddawna zaczęły też one wysuwać propozycję skreślenia lub zredukowania przez Amerykę długów wojennych, wskazując na to, że nie można leżeć w interesie Stanów Zjednoczonych doprowadzenie ich do ostatecznego zubożenia, i że mają prawo oczekiwać od swej amerykańskiej wierzycielki tych samych ulg i skreśleń, jakie one przyznały Niemcom. Ameryka jednak, dotknięta również kryzysem wywołanym ogromną nadprodukcją stała na niewzruszonym stanowisku płatności zaciągniętych wobec niej zobowiązań odmawiając nawet ostatnio odroczenia przypadającej w grudniu r. ub. raty. Część dłużników spłaciła więc tę ratę, część jednak z Francją na czele (i Polską w tej liczbie) nie zapłaciła jej poprostu i sprawa pozostała dotąd nierozstrzygnięta. Oczekiwano więc obecnie w czasie wizyty Mac Donalda i Heriota z zaciekawieniem, jakie stanowisko wobec tego zagadnienia zajmie nowy prezydent Ameryki. Dotąd jednak nie się nie wyjaśniło ostatecznie a przypuszczać jedynie można, że Ameryka pójdzie na szereg ulg wobec swych dłużników za cenę jednak uzyskania od nich dla siebie znacznych ustępstw w innych dziedzinach. Polska na równi z innemi państwami zainteresowana jest w rozstrzygnięciu tej sprawy — dług jej wobec Stanów Zjednoczonych wynosi 219 milj. dolarów wprawdzie zaciągnięty on został już po wielkiej wojnie i nosi całkiem odrębny charakter, nie będąc ściśle długiem wojennym, a nadto udzielony został na dość uciążliwych warunkach.

ZWYCIĘSKI LOT NAD ATLANTYKIEM.

Lotnictwo polskie znowu okryło się chwałą. Kpt. Stanisław Skarżyński, który wyruszył z Warszawy do Afryki, w celu pobicia rekordu długości lotu na lekkich aparatach turystycznych, przeleciał przez Atlantyk, bijąc jednocześnie zamierzony rekord, który dotąd należał do Francuzki Maryse Bastie i wynosił 2977 km. Polski lotnik przeleciał przeszło 3 tysiące kilometrów, podczas lotu, trwającego 20 godzin.

Kpt. Skarżyński wystartował z St. Louis w Afryce wchodniej; a wylądował na lotnisku w Macejo odległego o 200 km. od Pernambuco.

Lot kpt. Skarżyńskiego był niespodzianką dla wszystkich, nastąpił bez szumnych zapowiedzi i przygotowań, czego najwyższym dowodem jest fakt, że kpt. Skarżyński wyruszył w swoją zwycięską podróż w zwykłem sportowem ubraniu, nie zaopatrzony nawet w kombinezon lotniczy.

Obecnie polski zwycięzca Atlantyku znajduje się w Ameryce, podróżując od miasta do miasta na swej słynnej awionetce RWD 5.

Bohaterskiego lotnika witają wszędzie rozentuzjazmowane tłumy. Junacki wyczyn kpt. Skarżyńskiego wsławił raz jeszcze lotnictwo polskie.

POTĘPIENIE AMY MOLLYSON PRZEZ BRYTYJSKI ROYAL AEROCLUB.

Brytyjski Royal Aeroclub potępił ostro znaną lotniczkę Amy Mollyson, zwaną popularnie „dziewczyną z nieba" za niefortunny jej artykuł o Polsce, ogłoszony w prasie angielskiej. P. Amy Mollyson bowiem, która podczas lotu swego do Moskwy, przyjmowana była nader serdecznie w Polsce, opisała gościnność naszą w najczarniejszy barwach, bez najmniejszej zresztą ku temu podstawy. Słusznie też doczekała się ostrej odprawy ze strony swego klubu, który uznał jej późniejsze tłumaczenie za niewystarczające, uważając za sprawę honoru całego brytyjskiego ruchu lotniczego, czuwanie, aby na doznaną gościnność nie odpowiadano fałszywym jej przedstawieniem. Obecnie Amy Johson-Mollyson odwołała swoje uprzednie tłomaczenia i twierdzi, że wszystkie jej oszczerstwa były prawdą a zaprzeczyła im jedynie przez kurtuazję.

TRZY NOMINACJE KOBIECE W AMERYCE.

Od czasu objęcia prezydentury przez Rooswelta, możemy zanotować w Ameryce trzecią już z kolei nominację kobiety na wybitne stanowisko państwowe. Parę tygodni temu została podpisane przez Rooswelta nominacja p. Owen Bryan na posła Stanów Zjednoczonych w Kopenhadze, przed kilkoma dniami powołano zaś p. Altie Taylor Ross, gubernatora stanu Yoming, na dyrektora mennicy państwowej, równocześnie z mianowaniem p. Frances Perkins, sekretarki stanu, dyktatorką przemysłu amerykańskiego, jako kontrolerki bezrobocia i produkcji.

M. K.

WASZA STRONICA

M. WAJCHT.

WIELKANOCNE DZWONY

Powstał już ranek wiosenny, zamglony
Złoty od słońca i srebrny od rosy
Wiatr się przebudził w siwych mchach uśpiony
Rozczesał brzozy potargane włosy.

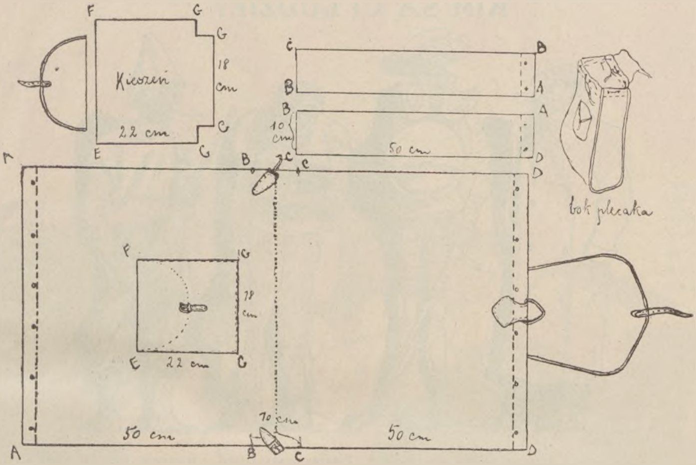
Pod niebo, które nad pola i niwy
Czysty i chłodny błękit swój rozpina
Wzbił się skowronek beztroski, szczęśliwy
I swą radosną piosenkę zaczyna.

A tam, gdzie jeszcze wlóczą się mgły sine
Kędy kościołek sadem otoczony
Zwiastując wszystkim radosną nowinę
Pieśń swą śpiewają wielkanocne dzwony.

Pieśń ich potężna, o nieba strop bije
I w dal odpływa i rośnie wciąż, rośnie
„Pan nasz zmartwychwstał! Zmartwychwstał i żyje!".
Całemu światu głoszą to radośnie.

W skupionej ciszy, w półmroku kościoła
Lud z całej wioski klęczy rozmodlony
A nad głowami, niby pieśń Anioła
Radośnie dzwonią wielkanocne dzwony.

CO MOGĘ ZROBIĆ SAMA



PLECAK.

Wobec zbliżającej się pory letniej — okresu dalszych spacerów i wycieczek — trzeba pomyśleć o ekwipunku sportowym. Wprawdzie wszystkie artykuły sportowe można nabyć gotowe w sklepie, lecz cena ich bywa nieraz dosyć wysoka, podczas gdy rzeczy te, zrobione w domu, byle tylko starannie i dokładnie wykonane, oddadzą znakomite usługi. Co więcej, artykuły sportowe, będące w handlu, niezawsze dostosowują się do potrzeb sportowca, a są obliczone przedewszystkiem na masową produkcję.

Szyjąc w domu plecak, którego cena sklepowa wynosi około 25 zł., oszczędzamy pieniędzy, a ponadto możemy sporządzić go tak, jak chcemy, bez konieczności stosowania się do tego, co jest na składzie, lub do wysokości ceny.

Plecak, którego wykonanie szczególnie polecamy, można uszyć w domu z płótna, wyrabianego specjalnie na przybory sportowe.

Plecak ten różni się krojem od tych, które znajdują się w handlu. Ma on mianowicie ścianki boczne, co znacznie powiększa jego objętość i t. zw. „pakowność".

O ile będziemy mieć do dyspozycji płótno, szerokie na 70 cm., wykrawamy z niego pas podłużny w wymiarach 115×50 cm. Pas ten będzie stanowić przód i tył plecaka. Z tej samej szerokości materjału wycinamy jeszcze 2 pasy — 54×12 — 14 cm. Będą one stanowić boki plecaka. Następnie wykrawamy jeszcze kieszeń, klapę kieszeni oraz zamknięcie. Wystarczy na to 1 m 40 cm. materjału, szerokiegi na 70 cm.

Przystępując do roboty, najwygodniej będzie zacząć od naszycia kieszeni, którą zeszywamy w punktach GG po linii wycięcia. Przez to kieszeń zyskuje na pojemności. Kieszeń powinna być nastebnowana, co można wykonać ręcznie, lub na maszynie do szycia. Klapę kieszeni lamujemy cienką skórką, szer. około 2 cm. Potem wszywamy boki, według liter ABCD. Najodpowiedniejszy będzie t. zw. ścieg francuski, polegający na zeszyciu 2-ch części z prawej strony, a następnie wszyciu tego szwu ze strony lewej. Ładniej będzie wyglądać obszycie boków lamówką skórzaną, należy to jednak robić nadzwyczaj dokładnie, gdyż niedostatecznie uchwycony igłą materjał może się wysunąć z pod skóry, gdy plecak wypchany, a to groziłoby nieprzyjemnemi następstwami w czasie wycieczki.

Po wszyciu boków, gdy już plecak przybierze kształt worka, zakładamy górny obrąbek w szerokości 2 do 2 i pół cm. (na rysunku zaznaczony kreskowaną linją). W obrąbku trzeba zrobić dziurki na przewleczenie sznura. Dziurki mogą być obdziergane ręcznie, lub wykończone kapslami przez rymarza. Dobrze, jeśli przy wbijaniu ich nie wycina się nic z materjału, a jedynie grubem szydłem rozsuwa nitki tkaniny na szerokość kapsli. Na końcu naszywamy części skórzane, pamiętając, by nić była mocna i robiąc otworki szydłem, a nie igłą, co, oprócz złamanych igieł nie dałoby żadnych rezultatów. Do lamowania, do którego używamy skórki miękkiej, dobrze będzie użyć igieł specjalnych, t. zw. kuśnierskich, o ściankach ostrych, które w skórę łatwo wchodzą i nie łamią się.

Rzemienie plecaka powinny być szerokie na 4 — 5 cm. i nie należy ich zastępować ze względów oszczędnościowych paskami materjału, z którego wykonaliśmy plecak.

Na podanym rysunku, oprócz omówionego plecaka (podane w tekście wymiary obejmują już naddatek materiału na szwy), przedstawione są i inne typy plecaków. Plecak mniejszy bez kieszeni, oraz duży, o dwu obszernych kieszeniach podłużnych. Można wreszcie zamiast kieszeni zewnętrznej przyszyć kieszeń wewnątrz plecaka, albo zastosować jedną i drugą.

Oczywiście najłatwiej można go nabyć w sklepie czy składnicy. Kto jednak musi liczyć się z wydatkami a potrafi szyć na maszynie, ten może równie dobrze sporządzić go w domu.

J. F.





ROZRYWKI UMYSŁOWE

KIM SĄ CI LUDZIE?

Za rozwiązanie niniejszego zadania przeznacza redakcja w drodze losowania wartościową nagrodę książkową. Termin nadsyłania rozwiązań niniejszego numeru upływa dnia 12 czerwca r. b.

Rozwiązanie należy nadsyłać pod adresem redakcji z dopiskiem *Rozrywki umysłowe.*



1. *Anglik, który dzięki bystrości umysłu, stał się postrachem przestępców.*
2. *Hiszpański szlachcic, który źle się czuł na tym świecie.*
3. *Pobożny murzyn, którego dzieje przyczyniły się do zniesienia niewolnictwa w Ameryce.*
4. *Marynarz, który długo żył na bezludnej wyspie.*

A TERAZ POROZMAWIAMY!

Chickie.

B. dziękujemy za zjednanie nowych prenumeratorek, Chickie. *Jest to największe dobro, jakie każda z Was może wyświadczyć* swemu pismu. Może się Wam zdaje, że parę prenumeratorek mniej, parę więcej jest bez znaczenia — ale gdyby każda z Was przysporzyła pismu kilka nowych odbiorczyń — możnaby cuda zdziałać w niebardzo długim czasie! Chickie zrozumiała to dobrze, bo ma widać wrodzony zmysł społeczny i rozumie życie.

Wiersz Twój przyszedł zapóźno! Dostałyśmy go 18 kwietnia! Numer składamy 2 tygodnie przed terminem wyjścia. Pamiętajcie o tem. Narazie popracuj trochę i poczytaj dobrych rzetelnych poetów: Iłłakowiczównę, Kruszewską, Wierzyńskiego, Tuwima, Lechonia (mało, ale dobrze) Zegadłowicza, Lieberta, Słobodnika i t. p. Zobaczysz jak ci to otworzy oczy na wymagany dziś poziom. Można nie naśladować, ale trzeba wiedzieć co się dzieje w poezji współczesnej. Więcej listów, Chickie! Łapkę twoją ściskamy.

Zośce.

Przedewszystkiem Zośko, skończ z płaczem w poduszkę. Pomyśl o tem, że jest wiosna, że masz sosny w Otwocku, że stan twój napewno się poprawi i że dogonisz życie swoich koleżanek. A jeśli nie czujesz się źle i jeśli ci doktór pozwala, postaraj się przechodzić kurs swojej klasy, żeby nie wyjść z treningu i ułatwić sobie późniejszą naukę. No i masz przecież książki, radjo i — dużo czasu na wzmocnienie duchowe. Myślę, że byłoby ci miło korespondować i radziłabym napisać apel do „Bratnich Dusz". Przyślij go na osobnej kartce a zaraz zamieścimy. Może ci poradzić coś z książek do czytania? Napisz w takim razie, co już czytałaś i wogóle napisz do nas jeszcze. Wiersze przyślij, jeśli *czujesz* w sobie zdolności w tym kierunku, omówimy je w seminarjum, więc będziesz wiedziała czego się trzymać. Czy rodzina cię często odwiedza? Pamiętaj, nie rozklejaj się Zośko, bo to ci tylko podniesie gorączkę, a ty przecież *musisz* wyzdrowieć. Mocno cię całujemy.

Wiochnie. B. dziękujemy za pierwsze przylaszczki i zawilce! Chowamy je w tece pamiątek redakcyjnych. Czy miałaś wynik w Bratnich Duszach Wiochno? Czy odezwał się ktoś bardzo miły?

Jaśka z Krakowa. Będzie, będzie o fotografji, Jaśko. Już mamy zamówiony artykuł. Teraz wszyscy jeszcze mają biura, albo szkoły, zajmiemy się tem podczas wakacyj. Oho! Chcesz mieć długą odpowiedź a sama nie dojechałaś nawet do końca stronicy (dużemi literami). Tak nie idzie. Napisz długi, długi list — to dostaniesz długą odpowiedź. A więc?...

Wiešce. No i gdzież ten ładny referat, który obiecujesz? „Czar Skrzydeł" dalej jest jeszcze ciekawszy, niż z początku. Czy jesteś naszą stałą prenumeratorką? Wypadałoby więc pisywać częściej. Czekamy dalszego ciągu i referatu!

Maji. Mam wrażenie Majo, że masz zdolności literackie. Może się mylę? To bardzo niewesołe te siedem „kółek", w których nikt nic nie robi. Pocóż istnieją w takim razie? Miałaś odpowiedź od „Bartnika"? „Bartnik" jest stanowczo sympatyczny. Ale, to co najważniejsze. Jakie jest największe zmartwienie twojego żywota? Tak, chwilka na rozdrożu, z wyborem zawodu nie jest zbyt przyjemna o ile niema się ustalonego zamiłowania. Dla tego na dział „Za progiem szkoły" kładziemy taki nacisk. Masz jeszcze trochę czasu, może coś sobie z niego wybierzesz? A może właśnie zdobnictwo okaże się twoją pasją życiową? Jeszcze koniecznie napisz, Majo, właśnie w takiej chwili przedsennej. To dobra chwila do korespondencji, kiedy kwestje następnego dnia są już zwalone z głowy.

M. Wajchtównie. Kochana autorko wiersza „Wielkanocne dzwony"! Twój wiersz jest *poprawny*, ale brak w niem jeszcze *głębi*. Ograne skojarzenia słowne („brzozy włosy", „czysty błękit", „pieśń radosna", „lud rozmodlony") — i nadużywanie przymiotnika „radosny" — mocno mu szkodzą. Ale następne napewno będą lepsze. Serdeczne pozdrowienia od „Świata Dziewcząt".

Redakcja

Warunki prenumeraty: rocznie — zł 10.—; półrocznie — zł. 5.—; kwartalnie — zł. 2.60; miesięcznie — zł. 1.—.
Cena ogłoszeń: strona dzieli się na 4 łamy. Szerokość 1 łamu 54 mm. 1 mm w łamie 60 gr. Cała strona 720.— zł.

Redaktorki: Hanna Januszewska-Moszyńska i Wanda Borudzka. Wydawca: Tow. Wyd. „BLUSZCZ"

Redakcja i Administracja: Solec 87, tel. 244-18 i 787-08. Konto P. K. O. Nr. 18.800

Redaktorki przyjmują w poniedziałki i środy od godz. 11 do 13.

Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „Bluszcz", Warszawa, Solec 87. Tel. 787-03.